

# 16.

## O tym, jak nawrócono Azteków

W 1531 roku miało miejsce niezwykle objawienie Matki Bożej. Maryja ukazała się w Gwadelupie, na nowo odkrytej ziemi meksykańskiej, i pozostawiła tam swój malowany kwiatami wizerunek. Zdumiewające, ale wiele wskazuje na to, że na jedynym maryjnym autoportrecie, jaki od Niej otrzymaliśmy, Matka Boża jest przyozdobiona różańcem!

Jak głoszą stare podania, mieszkańcy Meksyku umieli rozpoznać tożsamość postaci przedstawionej na cudownym wizerunku. Skoro niewiasta miała szatę ozdobioną różańcową broszką, z pewnością musiała to być sama Matka Boża... Ci spośród Azteków, którzy przyjęli już wiarę chrześcijańską, zostali przecież w większości nawróceni za pomocą różańca.



Przez dziesięć lat od podboju Meksyku przez Corteza rezultaty nawracania Indian były znikome. Dlaczego? Wystarczy wskazać na jeden powód. W tym wielkim kraju nie było dróg, co bardzo utrudniało pokonywanie olbrzymich odległości. Przy braku komunikacji łatwo było Hiszpanom dopuszczać się okrucieństwa wobec Indian. Czasem palono całe wioski, zabijano mężczyzn bez powodu albo pod pretekstem zahamowania epidemii. W dodatku Hiszpanie nałożyli na Indian tak ogromne

podatki, że zmuszali ich do sprzedawania swoich żon i dzieci w niewolę. Czy może dziwić, że proces nawrócenia kraju dokonywał się z dużymi oporami? Podczas gdy hiszpańscy kapłani uczyli Indian o miłości Boga i bliźniego, wzywali do zachowywania Dziesięciu Przykazań oraz do życia w zgodzie i pokoju, inni Hiszpanie – żołnierze – zabijali Indian, kradli im własność, palili ich domy. Trudno się dziwić, że z powodu tych okropności rodowici mieszkańcy Meksyku nie chcieli mieć nic wspólnego z nową religią ani też nie pragnęli iść do chrześcijańskiego nieba.

Tak było do czasu przybycia do Meksyku w 1526 roku dwunastu dominikanów. Jednym z nich był ojciec Gonzales, który widząc piętrzące się przed misjonarzami trudności, postanowił zastosować metodę swego założyciela, świętego Dominika, i zbudować wiarę Azteków na pobożności różańcowej. W 1528 roku, a więc trzy lata przed objawieniami Matki Bożej z Gwadelupy, ojciec Gonzales rozpoczął w prowincji Oaxaca nawracanie Indian metodą obrazkową.

Świątobliwy dominikanin usiadł, by namalować piętnaście obrazów. Chciał, aby każdy szczegół odnosił się do życia Indian i głęboko do nich przemawiał. Mijały kolejne tygodnie, a on modlił się i malował. Pomagał mu w tym pewien nawrócony Indianin, którego wypytywał o zwyczaje życia w Meksyku, o sposoby wychowywania dzieci, o więzy, jakie łączą rodziny. Niektórzy patrzyli na ojca Gonzalesa z politowaniem. Dochodziły go głosy: „Nie potrzeba nam artystów, ale misjonarzy”; on jednak nadal trwał przy swoim.

Wreszcie dzieło było zakończone. Ale namalowane przez Gonzalesa obrazy były naiwne i nie przedstawiały artystycznej wartości. Śmiano się więc z dominikanina: nie dość, że Pan Bóg nie uczynił go misjonarzem, ale jeszcze nie obdarzył go malarskim talentem... Ojciec Gonzales znał jednak swój sekret. Podczas gdy jedna jego ręka trzymała pędzel, druga ścisnęła różaniec, usta zaś szeptały modlitwy, a serce błaga-

ło Matkę Najświętszą, by Ona sama napełniła mocą te niezdatne narzędzia i posłużyła się tym, co głupie w oczach świata, by nawrócić Jej indiańskie dzieci. Ojciec Gonzales modlił się też do patrona swego zakonu, świętego Dominika, aby uprosił u Boga skuteczność tej metody, za pomocą której on sam nawrócił opornych albigensów.

Wreszcie dominikanin zarzucił na plecy wór, z którego wystawało piętnaście rulonów, i z jednym przewodnikiem, będącym zarazem tłumaczem, opuścił hiszpańską kolonię, by ruszyć ku indiańskim wioskom. Zdumieni Meksykanie wychodzili ze swych chat, aby przypatrywać się odzianemu w biały habit mężczyźnie, który stał na środku ich wioski z tajemniczym workiem u kolan. Kiedy ludzie zbierali się wokół niego, zaczynał mówić prosto, krótkimi zdaniem, od razu tłumaczonymi przez towarzysza. Po chwili wyciągał pierwszy rulon i rozwijając go na oczach tubylców, mówił o Matce i Dzieciątku, o życiu Świętej Rodziny, o miłości Boga, który zesłał na świat swojego Syna. Pod koniec opowieści biały misjonarz brał do ręki różaniec i poleciwszy słuchaczom rozważać oglądaną scenę, odmawiał głośno dziesiątek różańca. Jakież było zdumienie Indian, kiedy patrząc na obraz malowany niewprawną ręką dominikanina, dostrzegli, że święte postacie ożywają! A było to za sprawą modlitw ojca Gonzalesa, który w odmawianym przez siebie różańcu prosił Matkę Najświętszą, by sama uzupełniła jego nieudolną postugę. Podobnie działo się z kolejnymi obrazami, które rozwijał przed oczami Indian, by opowiadać o przedstawionych na nich misteriach. Za każdym razem, kiedy zaczynał odmawiać różaniec, płótna ożywały. Kiedy więc na koniec swej katechezy świątobliwy misjonarz chciał nauczyć Indian odmawiania różańca, jego propozycja spotkała się z takim zapałem ze strony Meksykanów, że dominikanin oniemiał ze zdumienia. On jeden bowiem nic nie wiedział o dokonującym się cudzie...

Tak oto Indianie nauczyli się odmawiać różaniec i kontemplować maryjne tajemnice. Od pierwszego spotkania z tą modlitwą wierzyli, że kiedy odmawiają różaniec, Maryja jest przy nich obecna. Czynili więc to chętnie i często, szczególnie w chwilach trudnych; a tych w ich życiu nie brakowało.

Trzy lata później Matka Najświętsza sama posłużyła się metodą obrazkową – pozostawiła Indianom swój wizerunek. Działanie Maryi było jakby zwierciadlanym odwróceniem działalności ojca Gonzalesa. Tam namalowane postacie ożywały podczas modlitwy, tu żywa postać na zawsze pozostawiła siebie w cudownie namalowanym obrazie, przed którym modlą się kolejne pokolenia. Więcej, postać znana im ze spotkań różańcowych nosiła jako ozdobę różańcową broszkę – znak tożsamości z Maryją z opowieści ojca Gonzalesa.

Niezwykły obraz nawrócił cały naród, a różaniec stał się ozdobą meksykańskiego ludu. W konsekwencji niebieskiego nawiedzenia jeden z misjonarzy, ojciec Pedro z Ghent, ochrzcił ponad milion tubylców, a w 1538 roku w jednym miejscu w okresie Bożego Narodzenia przyjęło chrzest i zawarło sakramentalne związki małżeńskie trzy tysiące Indian. Inny kapłan, ojciec Toribio, zapisał w swych notatkach: „Gdybym tego nie widział na własne oczy, nie ośmieliłbym się o tym pisać. Muszę potwierdzić, że w klasztorze w Quecholac pewien kapłan oraz ja ochrzciliśmy w ciągu pięciu dni czternaście tysięcy dwieście dusz. Wszystkich ich namaściliśmy nawet olejem katechumenów i świętym krzyżmem. Podjęliśmy się niełatwej pracy”.

Kiedy misjonarze nie byli już w stanie sprostać powtarzającym się prośbom o udzielenie chrztu, polecali ludziom ustawiać się za człowiekiem stojącym z krzyżem. W tej niezwykłej procesji w jednym rzędzie stały kobiety, w drugim mężczyźni. Kiedy przechodzili obok pierwszego duchownego, ten znaczył ich olejem katechumenów. Trzymając zapalo-

ne świece i śpiewając hymn, Indianie zbliżali się do drugiego księdza, który stał przy źródle chrzcielnym. Ludzie otrzymywali chrzest i kolumna powoli zawracała, by raz jeszcze podejść do pierwszego kapłana, który każdego namaszczał olejem krzyżma. Wówczas mężowie i żony brali się za ręce i wspólnie wypowiadali przysięgę małżeńską, otrzymując tym samym sakrament małżeństwa.

A wszystko to stało się za sprawą różańcowej działalności świątobliwego dominikanina i Matki Bożej, która namalowała kwiatami swój portret, ozdabiając swoją szatę różańcową broszką...